

ZBIGNIEW MADEJ*

J. Stiglitz – *Freefall* – refleksje i wątpliwości**

Książka jest napisana świetnie. Chce się ją czytać. Są w niej, rzecz oczywista, tezy dyskusyjne, ale i one podnoszą jej walory. „Nie trzeba się ze Stiglitzem zgadzać w każdym punkcie, żeby mieć pożytek z jego twórczych myśli” (Peter Coy – obwoluta książki). Własne refleksje nad tymi myślami podaję w czterech punktach.

1. Dlaczego taki tytuł?

Nie zdziwiłbym się, gdyby same względy marketingowe skłoniły autora i wydawcę do wyboru takiego tytułu. Dziś przecież nikt nie jest wolny od nacisku tej natrętnej presji. Jednak w tym przypadku sprawa ma się inaczej. Tytuł nie jest przerysowany. Odpowiada w pełni narracji autora. Od pierwszych akapitów przedmowy do uwag końcowych jedziemy ze Stiglitzem po samej krawędzi zwichniętej gospodarki światowej, a po wjeździe do wnętrza sektora finansowego odnosimy wrażenie, że spadamy w przepaść. Czy obraz jest prawdziwy? Na razie ograniczam się do tytułu – dobrany trafnie.

Z oceną prawdziwości będą pewne kłopoty, gdyż to proste i jakże często zadawane pytanie wcale nie jest proste. Prawda 1% najbogatszych ludzi w Stanach Zjednoczonych jest całkiem inna niż prawda 20% ludzi najuboższych. Nie wynika to wyłącznie z odmiennej interpretacji faktów, ponieważ same fakty pojmują się wielorako. To, co jest faktem dla jednych, nie musi być faktem dla innych. Stiglitz wnikliwie analizuje ten dwoisty świat i zwraca uwagę na rosnącą bifurkację. Jednak gwoździ sprawiedliwości znów wypadnie przypomnieć, że ocena Stiglitz'a nie jest prawdą uniwersalną. Sam Stiglitz zresztą nigdzie tego nie pisze. Przeciwnie – oznajmia wprost, że reprezentuje szkołę keynesowską i za pomocą jej kryteriów ocenia obecną sytuację w Stanach Zjednoczonych i w świecie. Pisze również, że krytykowani przez niego fundamentaliści rynkowi inaczej postrzegają i inaczej oceniają te same fakty. Czy są odosobnieni? Z pewnością nie.

W parlamentach większości demokratycznych państw partie opozycyjne niemal codziennie głoszą odmienne poglądy niż partie rządzące. W wymiarze sprawiedliwości jest podobnie. Oskarżyciele te same fakty oceniają inaczej niż obrońcy. Jedni i drudzy mają wprawdzie nad sobą sądy, ale czy sądy znają prawdę? Sędzią nad rządzącymi i opozycją

* Prof. dr hab. Zbigniew Madej; e-mail: z.madej@post.pl

** Joseph E. Stiglitz, *Freefall. Jazda bez trzymanki. Ameryka, wolne rynki i tonięcie gospodarki światowej*, Polskie Towarzystwo Ekonomiczne, Warszawa 2010.

jest w dzisiejszych czasach wszechobecny demos, ale ten, jak wiadomo, bywa nierychliwy i bardzo często jest niesprawiedliwy.

W takiej sytuacji komfortowo czują się zapewne zwolennicy relatywizmu poznawczego i wyznawcy względności ocen. Według nich każdy podmiot poznający świat ma prawo do własnej prawdy. Nie ma nad nimi sędziego wyposażonego w prawdę absolutną, ale ci, którzy absolut uznają, mają pełne prawo powiedzieć, że relatywiści listkiem figowym przysłaniają swoją niewiedzę i bezradność.

2. Co jest myślą przewodnią książki?

Stiglitz już we wstępie pisze, że jego książka opowiada o walce idei. Nie jest to jednak opowieść historyka idei, lecz wybitnego znawcy teorii ekonomicznych i doświadczonego praktyka – znanego eksperta o renomie światowej. Dlaczego zatem zaczyna od idei? Dlatego, że idee kształtują – jego zdaniem – wszelkie działania: inspirują biznesmenów, tworzą politykę gospodarczą, a ta z kolei tworzy, lub ściślej ujmując – usiłuje stworzyć, praktykę gospodarczą.

Kuźnicą interesujących nas tu idei jest ekonomia, ale w obrębie tej świątyni – jak pisze Stiglitz – znajduje się wiele kaplic. Każda z nich ma swoich kapłanów, a nawet swoje katechizmy. Dodajmy, że Stiglitz przypisuje te kaplice ekonomii głównego nurtu (s. 297). Jeśli w nim występuje taka różnorodność, jeśli tam powstają rozstrzelone idee, to co można powiedzieć o całej ekonomii? Do tego pytania pasuje jak ulał taka oto sarkastyczna sentencja Stiglitz: „Rynek idei najwyraźniej wcale nie działa lepiej niż rynek towarów, kapitałów czy pracy. Nie zawsze przeważają na nim najlepsze idee” (s. 316). Trafne spostrzeżenie, ale czy naprawdę chcemy, aby zawsze przeważały idee najlepsze, czy też chodzi nam wyłącznie o przewagę naszych? Stiglitz dokonał wyboru wcześniej. Dziś nie miałby prawdopodobnie z czego wybierać, gdyż jego zdaniem „ekonomia przemieniła się bardziej, niż chcieliby sądzić ekonomiści, z dyscypliny naukowej w najbardziej entuzjastyczną cheerleaderkę wolnorynkowego kapitalizmu” (s. 277). Przyjmijmy, że ta surowa krytyka odnosi się tylko do schodzącego ze sceny neoliberalizmu. Faktycznie dominował wtedy leseferyzm, ale nie był jedyny. Istniał przecież keynesizm i istnieje nadal, a Chińczycy nie poddali się żadnej ze znanych doktryn. Nie gloryfikują wolnego rynku i nie ograniczają się do keynesowskiego interwencjonizmu. Czas pokaże, czy dokonali trwałego wyboru, ale już dowiedli, że istnieją wybory ponad lub poza tymi doktrynami. Wróćmy zatem do pytania, czy chodzi o wybór idei najlepszych, czy idei naszych?

Geneza dylematu tkwi w sporach religijnych. Na tamtym gruncie mniej razi przekonanie, że nasza wiara jest jedynie słuszna. Na gruncie nauki, jak zwykło się mówić, sama wiara po prostu nie wystarcza. Jak sobie radzić z tym problemem? Czy mamy się wyzbyć tych fideistycznych znamion, czy podtrzymywać je, a może nawet rozwijać? Przecież bez wiary – mówi stare przysłowie – nie znajdziesz końca miary. Wybór nie jest łatwy, to rzecz oczywista. Ekonomistów nie oszczędza, ale nie rozstrzygniemy go wyłącznie na gruncie ekonomii.

Równie kłopotliwa jest duża liczba kaplic. Wielość szkół ekonomicznych i różnorodne oceny tych samych zjawisk gospodarczych są zdaniem wielu wartością samoistną. Podtrzymują ducha rywalizacji, zmuszają do sporów i dzięki temu sprzyjają poszukiwaniom. Jednak nie sposób pominąć zarzutu, że ta wielość i różnorodność uderza w elementarne zasady spójności, którymi powinna cechować się każda dyscyplina naukowa. Ta różnorodność nie byłaby może zbyt rażąca, gdyby przedstawiciele poszczególnych szkół stosowali zasadę empatii, gdyby chcieli i umieli dostrzegać racje adwersarzy. Niestety, dominuje

wrogość i walka. Kryzys przypominał, że społeczny odbiór tego stanu rzeczy jest po prostu fatalny. Ekonomiści – słyszy się z zewnątrz – nie mogą się pogodzić nawet w okresach zagrożenia.

3. Jak powstał współczesny kryzys globalny?

Stiglitz twierdzi, że kryzys ten jest rezultatem daleko posuniętej deregulacji rynków, rozpoczętej przed trzydziestu laty przez Margaret Thatcher i Ronalda Reagana, ale prapoczątków tego fenomenu doszukuje się w wolnorynkowych ideach szkoły chicagowskiej. Tam zrodziła się koncepcja rynku efektywnego, bardzo zbliżona do znanej wcześniej koncepcji rynku doskonałego i ona właśnie stanowiła teoretyczną podstawę rzeczonyj deregulacji¹. Jest czymś naturalnym, że taka koncepcja od początku spotkała się z uznaniem elity finansowej i innych przedstawicieli biznesu. Bardziej zastanawiające jest, dlaczego politycy licznych krajów przestawili się szybko z doktryny keynesowskiej na doktryny wolnorynkowe. Przecież keynesizm dawał im większe pole działania. Dlaczego całe rzesze naukowców porzuciły keynesizm na rzecz monetarizmu i innych doktryn leseferystycznych? Stiglitz pisze o tych nagłych zwrotach, ale nie wyjaśnia ich przyczyn. Zresztą nie on jeden. Spotykana dość często opinia, że keynesizm wyczerpał swoje siły jest wprawdzie kategoryczna i być może przez przypadek trafna, ale nie odpowiada na typowe dla nauki pytanie, dlaczego tak się stało. Mamy oto kolejny problem godny namysłu i dalszych dociekań.

Bezpośrednim sprawcą współczesnego kryzysu jest, zdaniem Stiglitz, amerykański sektor finansowy. On go rozpoczął jesienią 2007 r. i on sprawił, że tenże kryzys najpierw w kostiumie kryzysu finansowego, a nieco później w kostiumie kryzysu ogólnogospodarczego wpadł w szalony wir i hula po całym globie. Ameryka kryzysem zaraziła świat. Główna przyczyna tego wydarzenia leży w globalizacji. Sektor finansowy był jej współtwórcą i największym beneficjentem. To on od początku najostrzej walczył o deregulację i skutecznie ją wykorzystywał. Był już silny i nadal prężny. W Stanach Zjednoczonych tuż przed kryzysem około 40% zysków korporacyjnych znajdowało się w tym sektorze (s. 219). Amerykański sektor finansowy i sektory finansowe innych krajów wysoko rozwiniętych posiadały rozgałęzione struktury, które dosłownie oploty całą kulę ziemską, a coraz nowsze środki komunikacji znakomicie ułatwiały prowadzenie operacji finansowych w skali globalnej. Sektor finansowy stał się globalnym quasi-monopolem, a jego główne podmioty: banki, towarzystwa ubezpieczeniowe, fundusze inwestycyjne itp. działały i działają nadal jako ponadnarodowe organizacje oligopolistyczne. Wywołało to dwa ostre konflikty. Pierwszy – między tymi ponadnarodowymi organizacjami a państwami narodowymi, zaś drugi – między tymi właśnie organizacjami a zasadami wolnorynkowymi, do których ciągle się odwołują, a jednocześnie ciągle je depreczują, jak czyniły to zawsze wszelkie monopole i oligopole. Odnotujmy również, że te organizacje wzięły rozbrat z wolno-konkurencyjnymi doktrynami. Monopolistycznych praktyk nie propagowała przecież ani szkoła monetarystyczna, ani jej poprzedniczki: szkoła klasyczna i neoklasyczna. Więcej, nie propagował jej również keynesizm. Wynika z tego, że wielkie organizacje gospodarcze skłóciły się niemal z całym otoczeniem, a mimo to wiedzie się im dobrze.

Są ciągle ponad wszystkim, stały się zaborcze i bezwzględne, narzucają światu swój porządek. Niewykluczone jednak, że weszły już lub wchodzą w jakiś końcowy etap tej

¹ Rozpowszechniony jest również pogląd, że na tamte deregulacje poważny wpływ miała ekonomia podaży (por. L. Filipowicz, *Amerykańska ekonomia podaży*, Polska Akademia Nauk, Instytut Nauk Ekonomicznych, Poltext, Warszawa 1992).

samowoli. Są silne, a jednocześnie niemrawe, mało elastyczne. W trudnych, kryzysowych czasach popełniły wiele błędów, strzelają gole do własnej bramki, ale nadal liczne strzały kierują na zewnątrz. Wywołały niechęć otoczenia i znalazły się w centrum krytyki. Opinia publiczna całego świata obciążała je odpowiedzialnością za wszelkie zło niesione przez obecny kryzys. Dostrzegła także ich wewnętrzne pęknięcia. Czy dostrzegła również, że te pęknięcia są owocami samozatrucia i autodestrukcji? Państwo współczesne nie dzieli ich przecież na mniejsze podmioty, kościół nie rzuca na nich klątwy. Psują się od środka i zatrują całą otoczenie.

Banki, według Stiglitz, znalazły się w samym centrum sektora finansowego. One stanowią siłę napędową tego sektora, one odniosły największe korzyści, a obecnie otrzymują największe cięgi. Im przecież przypisuje się wywołanie kryzysu na rynku *subprime*, one zastosowały rozdętą sekurytyzację, one wreszcie stały się niewypłacalne, a w krytycznym momencie sięgnęły po subwencje z publicznych środków, bo okazało się, że są zbyt duże, żeby upaść. Stiglitz analizuje każdą z tych cech i pokazuje krok po kroku, jak narastały przesłanki kryzysu, jak doszło do erupcji i jak bez powodzenia rządu Georga W. Busha, a później Baracka Obamy próbowały powstrzymać narastanie zła.

Z tej obfitości spraw wybieram do dalszych rozważań tylko to, co kryje się pod hasłem „zbyt duże, żeby upaść” (s. 193). Pod piórem Stiglitz powiela się to hasło jak echo. Kolejne odbicia fali głosowej słychać nieco inaczej, ale nie ginie wyjściowa tonacja. Banki są zatem nie tylko zbyt duże, żeby upaść, ale także zbyt duże, aby dbać o klienta i działać zgodnie z wolnorynkowymi regułami, zbyt duże, aby dało się nimi sprawnie kierować, zbyt duże, aby stosować się do obowiązujących przepisów państwowych, i wystarczająco silne, by wrywać z budżetu państwa ogromne kwoty pieniędzy.

Duże banki (a w ślad za nimi małe) łupią klientów rozdętą liczbą opłat. Tradycyjne usługi podzieliły na płatne odrębnie części i cząsteczki. Stosują przy tym praktyki żenujące, całkowicie sprzeczne z tradycyjną solidnością banków. Obiecywane korzyści klienta drukują wyraźnie dużymi literami, a jego zobowiązania piszą zaledwie dostrzegalnym drukiem, językiem mało zrozumiałym dla zwykłych ludzi. Kuszą ich przy tym coraz nowszymi produktami. Właśnie: *produktami!* To słowo zapożyczone z manufaktur i fabryk zrobiło w bankach zadziwiająca karierę.

Duże banki (w tym przypadku wyłącznie duże) zdobyły jeszcze jedno źródło dochodów – kasę państwową. Stiglitz pisze, że w obecnym kryzysie przeznaczono dla amerykańskich banków i korporacji przemysłowych miliardy dolarów. Dług publiczny wzrósł na skutek tego do 80% PKB w 2009 r., a dziś dochodzi do 100%. Takie praktyki nie są całkiem nowe. Stanowią kolejny etap dłuższego trendu, trwającego już ponad ćwierć wieku. Jest to trend ponadpartyjny, realizowany zarówno przez demokratów, jak i przez republikanów. Trend szeroki, obejmujący ulgi podatkowe, subwencje, gwarancje rządowe itp. Stiglitz nadaje mu wymowną nazwę: *corporate welfare*, wymienia sektory korzystające z tej pomocy, podaje kwoty wsparcia i porównuje je ze świadczeniami dla zwykłych obywateli.

Wspomaganie gigantów odbija się oczywiście na budżecie państwa i na funkcjonowaniu rynku amerykańskiego. Duże banki i duże korporacje przemysłowe działają razem z mniejszymi podmiotami, ale działają na innych zasadach. Z tych dużych ryzyko zdejmuje państwo, nacjonalizując ich straty, a małe muszą je ponosić bez pomocy z zewnątrz. Nie ma na tym rynku jednakowego startu dla dużych i małych, nie ma także jednakowych warunków rywalizacji. Nie ma, ponieważ jest to rynek niedoskonały, ale dziś można dopowiedzieć, że tę niedoskonałość podtrzymuje państwo, psuje zasady wolnej konkurencji zamiast je chronić, a w konsekwencji kręci bat na własne plecy. Staje się zakładnikiem tych kolosów, które faktycznie wywołałyby poważne zaburzenia, gdyby upadły, ale dla czego do tego dopuszczono? Stiglitz przypomina (s. 196), że Teddy Roosevelt na po-

czątku XX w. postąpił inaczej. Wtedy uświadomiono sobie w pełni, że duże organizacje typu monopolistycznego psują wolnokonkurencyjne rynki, i startując od zera w sensie jurysdykcji wprowadzono ustawodawstwo antymonopolowe. Dziś władze państwowe mają rozbudowane przepisy prawne i ponadstuletnie doświadczenie, mogą korzystać z bogatego dorobku myśli ekonomicznej, ale nie wykorzystują tych atutów. Nie mogą czy nie chcą? Rynek stał się silniejszy od państwa, czy obydwie megastruktury splotły się w nierozzerwalnym uścisku? Uścisk jest obopólny – to prawda, ale rynek gniecie, a państwo ledwo dyszy.

4. Remedia gospodarcze i ogólnosystemowe

Stiglitz wymienia sześć wielkich problemów (s. 219–224), które świat musi podjąć i rozwiązywać je od zaraz. Są one na tyle poważne, że trzeba będzie je rozwiązać niezależnie od tego, czy przyjdzie nam żyć i działać w jakiejś formie od dawna znanego kapitalizmu, czy też w jakimś nowym systemie, którego nazwy dziś jeszcze nie znamy.

Pierwszy problem – to luka między globalnym popytem a globalną podażą. Światowy potencjał produkcyjny nie jest w pełni wykorzystany, choć istnieją liczne niezaspokojone potrzeby. Najgorzej wykorzystane są zasoby ludzkie. Miliardy ludzi nie posiada odpowiedniego wykształcenia, a w okresach kryzysu – jak obecnie – mamy na świecie prawie ćwierć miliarda bezrobotnych.

Drugi problem – to problem środowiska naturalnego, w tym zmiana klimatu i oszczędne gospodarowanie surowcami naturalnymi. Zrozumienie dla sprawy na szczęście narasta, ale praktyka jest ciągle niesatysfakcjonująca, wręcz samobójcza.

Trzeci problem – nowszy niż dwa poprzednie – polega na braku globalnej równowagi finansowej i handlowej. Jedne kraje żyją za pieniądze pożyczane, a inne finansują je, choć znajdują się na niższym poziomie gospodarczym. Relacje między Stanami Zjednoczonymi a Chinami są w tej kwestii najbardziej wymownym przykładem. Dotyczy to również wielu krajów europejskich, których dług publiczny urósł do niebezpiecznych rozmiarów.

Czwarty problem Stiglitz nazwał zagadką produkcji przemysłowej. Przemysł stworzył liczący się segment cywilizacji ludzkiej. Odegrał bardzo ważną rolę w sferze gospodarczej, w rozkładzie sił społecznych i w ludzkiej obyczajowości. Stworzył dobrze płatne stanowiska pracy i wydzwignął liczne kraje z ubóstwa. Jednak w ostatnich dziesięcioleciach wiele się zmieniło. Szybko rosnąca wydajność pracy sprawiła, że wzrost produkcji przemysłowej nie idzie w parze ze wzrostem zatrudnienia. Otwarte jest pytanie, czy ta nowo odkryta cecha jest współczesną właściwością przemysłu w krajach wysoko rozwiniętych, czy właściwością ogólną. Jeśli tak, to przesuwanie przemysłu do krajów słabo rozwiniętych może nie dawać takich efektów w sferze zatrudnienia, jakie przez długie lata występowały w dzisiejszych krajach wysoko rozwiniętych.

Piąty problem jest jakąś odmianą znanego podziału świata na bogatą północ i ubogie południe. Globalizacja wprowadziła do niego nowe elementy (Chiny, Indie, niektóre kraje afrykańskie), ale rozwarstwienie dochodowe i majątkowe oraz szeroko rozumiany poziom i sposób życia ludzi bogatych i ubogich jest nadal problemem bardzo poważnym. Prawie miliard ludzi żyje za mniej niż jeden dolar dziennie.

Szósty, ostatni problem to stabilność w sensie socjalnym, gospodarczym, politycznym i militarnym. Naturalną potrzebą człowieka jest bezpieczeństwo. W życiu gromadnym, w społeczeństwach zaspokajanie tej potrzeby wymaga współdziałania wielu instytucji w poszczególnych krajach i w skali globu. W obydwu przypadkach nie jest najlepiej.

Zastanówmy się teraz, czy wymienione problemy i wszystko, co przyszłość przyniesie będziemy rozwiązywać w sposób kapitalistyczny, czy w jakiś inny. Stiglitz bardzo krytycznie ocenia współczesny kapitalizm. Już we wstępie pisze, że obecny kryzys odsonił fundamentalne wady systemu kapitalistycznego. Ale natychmiast dodaje, że chodzi o tę szczególną wersję kapitalizmu, która uformowała się w drugiej połowie XX w. w Stanach Zjednoczonych. Nie chodzi zatem o kapitalizm jako taki, lecz o określony typ kapitalizmu, nazywany czasem kapitalizmem w stylu amerykańskim. Ten kapitalizm Stiglitz prześwietla dokładnie. Pisze nawet, że data upadku banku Lehman Brothers może być dla fundamentalizmu rynkowego tym, czym upadek muru berlińskiego był dla komunizmu (s. 255). Konstatacja śmiała. W ślad za nią idą propozycje zmian, które można zgromadzić w trzech obszarach: w systemie wartości, w instytucjach regulujących funkcjonowanie kapitalizmu oraz w lekko muśniętej sferze własności czynników produkcji.

Najwięcej uwagi poświęca Stiglitz zmianom instytucjonalnym. Obejmują one: relacje między państwem a rynkiem, zasady funkcjonowania wielkich korporacji oraz zasady wynagradzania personelu kierowniczego. W tym kontekście pojawia się ciekawy postulat, aby bodźce materialne dla tego personelu wiązały jego dążenia z interesami ogólnospołecznymi. Intencje szlachetne, ale trudne do zrealizowania. Wielu teoretyków twierdzi przecież, że nie ma czegoś takiego, jak interes ogólnospołeczny. A inni zwracają uwagę na trudności w praktycznym podejściu do tej sprawy.

Kwintesencja reformatorskich propozycji Stiglitz znalazła się w następującym akapicie: „Dziś wyzwaniem jest stworzenie Nowego Kapitalizmu. Poznaliśmy już wady starego. Ale stworzenie nowego kapitalizmu będzie wymagało zaufania. Łącznie z zaufaniem między Wall Street, a resztą społeczeństwa. Nasze rynki finansowe zawiodły nas. Jednak nie jesteśmy w stanie funkcjonować bez nich. Nasz rząd zawiodł nas. Jednak nie jesteśmy w stanie poradzić sobie bez rządu” (s. 242).

Z przytoczonej opinii wynika, że na scenie amerykańskiej pozostać mają takie podmioty, jakie działały dotychczas. W innych partiach książki Stiglitz domagał się jednak – co trzeba podkreślić – wzmocnienia regulacyjnych funkcji państwa i sprowadzenia Wall Street (czytaj: całego rynku) na właściwe miejsce. Okresem dobrych relacji pomiędzy państwem a rynkiem był, zdaniem Stiglitz, cały okres od wielkiego kryzysu do końca lat 70. XX w. Tamte doświadczenia: ówczesna stanowczość F.D. Roosevelta i konsekwencja tamtych rządów powinny być zatem swoistym wzorcem do przebudowy współczesnego kapitalizmu. Intencje czytelne, wzorce powszechnie znane, ale czasy inne. Kto, kiedy i w jaki sposób wprowadzi te wzorce w życie?

Wertykalne podejście do przyszłej reformy, sięgające w głąb czasu i ograniczone do własnej historii w przypadku Stanów Zjednoczonych jest możliwe, chociaż nie jedyne. W przypadku innych krajów, zwłaszcza krajów mniejszych – po prostu niewskazane. Globalizujący się świat stawia, a ściślej rzecz ujmując, już postawił, zdecydowane wymagania. Izolacja jest niemożliwa. W grę wchodzi jedynie jakaś autonomia, dyktowana głównie lokalnymi tradycjami kulturowymi. Dotyczy to wszelkich przejawów ludzkiej aktywności, łącznie z reformami systemowymi. Dobrze pomyślane modele przyszłych ustrojów powinny uwzględniać doświadczenia kapitalizmu amerykańskiego, ale także doświadczenia zdobyte w różnych krajach europejskich. Dziś w żadnym przypadku nie można pominąć wielkiego eksperymentu ustrojowego Chin oraz nowatorskich rozwiązań w Ameryce Południowej. Nakazem obecnych czasów jest uwzględniać, co nie znaczy naśladować dosłownie, ale znać cudze rozwiązania i przejmować to, co korzystne. W przeciwnym przypadku grozi ksenofobiczna marginalizacja lub żywiołowy napływ dobrego i złego.